

UNIWERSYTET
BIBLIOTEKA
1945

II SKIERIKI

Bydgoskie

PISEMKO

MŁODZIEŻY

SZKOLNEJ

Nr 4

M A J

Rok 1945



LOS POLAKÓW NA WARMII I ZIEMI MALBORSKIEJ



Jędrzek całe godziny przesiaduje na strychu. Leżą tu w nieładzie, zakurzone i podniszczone polskie książki. Wepchnięte w ciemny kąć, zawałone rupieciami, niewidoczne dla niewtajemniczonych oczu — doczekały się szczęśliwie lepszych czasów. Skazane były kiedyś wyrokiem najeźdźcy na spalenie — dzisiaj pieszczotliwa ręka podnosi je z pyłu zapomnienia i układa starannie w domowej bibliotece. Jędrzek znajduje tam prócz książek cały szereg innych ciekawych rzeczy. Najbardziej cieszy go znaleziona mapa Polski. Mężczyzna teraz bezustannie ojca, który niedawno uwolniony przez zwycięskie wojska sojusznicze wrócił cały i zdrow z robót fortyfikacyjnych, by mu opowiedział o miastach, ludziach i rzekach ojczyznanego kraju. Ojciec Jędrka czyni to chętnie. Cieszy go bowiem chęć syna do nauki.

— Opowiedz mi, proszę, o ziemi, którą musiałeś kopać — nalega Jędrzek.

Ojciec i syn siadają przy stole, rozkładają mapę.

* * *

Jędrzek doskonale pamięta dzień, w którym nastąpił wyjazd całej prawie Bydgoszczy na roboty przymusowe. Był na dworcu razem z mamusią. Ogromne masy ludzi zalegały ulice w pobliżu dworca. Pod groźbą pałek gestapowskich zegnane tłumy Polaków miały wykopać wał obronny, przed którym miała być wstrzymana spodziewana ofensywa Armii Czerwonej. Kiedy pociąg ruszył, zebrani na peronie najbliżsi zadrżeli: prześladowana i pogardzana polska mowa wybuchła potężnym chórem żołnierskiej piosenki: —

„Wojenko, wojenko, cóżeś ty za pani,
że za tobą idą chłopey malowani...“

Dygnitarze niemieccy byli bezsilni. Tej fali polskości nie był nikt zdolny powstrzymać, — — —

* * *

— Późną nocą zatrzymał się pociąg w Malborku — rozpoczyna opowiadanie ojciec.

Jędrzek posuwa ołówek po czerwonej linii, oznaczającej koleje: z Bydgoszczy przez Laskowice aż do Tezewa, potem przez bardzo długi most nad Leniwką i krótko przed Malborkiem przez most na Nogacie.

— W Malborku było największe siedlisko krzyżactwa — wtrąca się Jędrzek.

— Tak, synku, wznosi się tam jeszcze dzisiaj ogromnych rozmiarów zamek. Pozwolono nam go zwiedzić. Jest to budowla bardzo ciekawa. Wchodzi się do niego przez most zwodzony. W jednej z licznych sal znajdują się prochy wielkiego mistrza krzyżackiego Ulrycha v. Jungingen, który 14 lipca 1410 roku padł pod Grunwaldem, gdzie Krzyżacy ponieśli, jak wiesz, sromotną klęskę. Ucieszył mnie widok chorągwi krzyżackich zdobytych w tej bitwie, a które Niemcy po wkroczeniu w r. 1939 do Krakowa zabrali z Wawelu i na zamku malborskim umieścili. Malbork często gościł królów polskich. Król Batory przeprowadzał tu sądy nad gdańszczanami. Przebywał tu także Jan III. Sobieski, zwiedzając tereny dotknięte powodzią w roku 1673. W roku zaś 1807 wkroczyli do Malborka polscy wiarusi wraz z Napoleonem.

Z Malborka przewieziono nas do Kwidzyna.

Jędrzek poszukał na mapie linię kolejową prowadzącą przez tzw. Ziemię Malborską.

— Miasta Sztum i Kwidzyn — to ogniska polskości w Malborskim — wyjaśnił dalej ojciec. Podczas prac przymusowych w Kwidzynie rozmawiałem często z polskimi mieszkańcami tego miasta. Mówili gwara malborską, ale zupełnie dobrze mogłem ich zrozumieć. Jeden z nich

opowiedział mi o wspaniałej niespodziance, jaką sprawili Niemcom w roku 1920 podczas plebiscytu. Otóż w mieście, które Niemcy uważali za czysto niemieckie, urządzili Polacy okazały pochód. Dzieci w strojach narodowych, towarzystwa śpiewacze i banderie krakusów ukazały się naraz na ulicach tego miasta. Tłumy niemieckie zaskoczone tym zuchwalstwem oniemiały, ale później napierały z wściekłością z boeznych ulic i usiłowały pochód rozbić. Trzaskały nawet salwy rewolwerowe. Banderie nasze odpierały ataki, zasłaniając naporem koni bezbronną polską manifestację. W ten sposób zadokumentować chcieli wielkie swoje przywiązanie do swojej ojczyzny.

Po plebiscycie, który wypadł na naszą niekorzyść, los Polaków był bardzo ciężki. Niemcy niszczyli każdy odruch polskości. Za słowo usłyszane po polsku wybijano zęby, palono domostwa, a częstokroć odbierano życie.

Jędrzek zauważył na mapie na wschód od Ziemi Malborskiej napis: Warmia. Chciałby usłyszeć jeszcze trochę o tej ziemi. W szkole dowiedział się już, że Feliks Nowowiejski, który napisał muzykę do „Roty“, był rodowitym Warmiakiem.

— Opowiedz jeszcze o Warmii, proszę — nalega ojca, który choć tam jeszcze nie był, na pewno jednak dużo o tej ziemi czytał.

Ojciec chętnie dzieli się wiadomościami z synem.

— Warmia to najdalsza z ziem polskich, należąca do Polski od bitwy pod Grunwaldem aż do pierwszego rozbioru. Pierwsi koloniści polscy przybyli tu z Ziemi Dobrzyńskiej. Warmia wypowiadała się i trwała zawsze przy Polsce. Została krajem katolickim. Toteż Niemcy starali się, jak tylko mogli, tępić polskość. Po wojnie światowej naliczono na Warmii 40 tysięcy Polaków. Pozwolono na założenie polskich szkół, ale posyłający dzieci do polskiej szkoły pozbawiony był wszelkiej pomocy. Dzieci polskie, uczęszczające do tych szkół, były napastowane przez uczniów szkoły niemieckiej. Wyzwiska, groźby, szturchańce, bicie, wybijanie szyb w szkole były na porządku dziennym.

— A u nas dzieci niemieckie cieszyły się taką swobodą — przerywa Jędrzek oburzony.

— Stolicą Warmii jest Olsztyn — wyjaśnia dalej ojciec. Jest on stolicą nie tylko Warmii, ale zarazem całej polskości wschodnio-pruskiej. Tu wychodziło przez 50 lat polskie pismo „Gazeta Olsztyńska”. A tu w północnej Warmii w Fromborku dokonał swych odkryć najślawniejszy z Polaków — Mikołaj Kopernik; w Lidzbarku mieszkał i pisał książki znany bajkopisarz biskup Ignacy Krasicki.

To wszystko teraz wraca do Macierzy.....

Na korytarzu zaterkotał dzwonek. To koledzy przyszli po Jędrka — już czas na zbiórkę harcerską. Podziękował ojcu za tyle nowych wiadomości i szybko wybiegł z chłopcami.

Franciszek Grott



My, dzieci z Mazurów, Warmii i Powiśla
o tobie, Polsko, śniłyśmy wciąż.
Do miast, których obraz kryłyśmy w swych
tęsknota niosła, jak rzeki prąd. [myślach,

Przyjmij nas do siebie, owieczki zbłąkane
które graniczny odgradził mur
i pozwól nam poznać serca ukochaniem
polskiego życia najczystszy nurt.

Wybacz nam kalectwo macierzystej mowy,
nie nasza wina, nie nasz to błąd —
niech się odtąd zacznie dla nas okres nowy,
słońce ożywi najskrytszy kąć.

Otocz nas swym skrzydłem, potęgą ramienia,
niech twej wielkości olśniewa blask.
Odpędź jak najdalej czający się w cieniach
nabrzmiały męką miniony czas.

Franciszek Grott

NA POJEZIERZU MAZURSKIM

— Dzień dobry, Michał, jak se mos? ¹⁷

— Dzięki Bogu, jus zdrów jestem. Byłem bardzo chory. Dziw, ze żyję jesse.

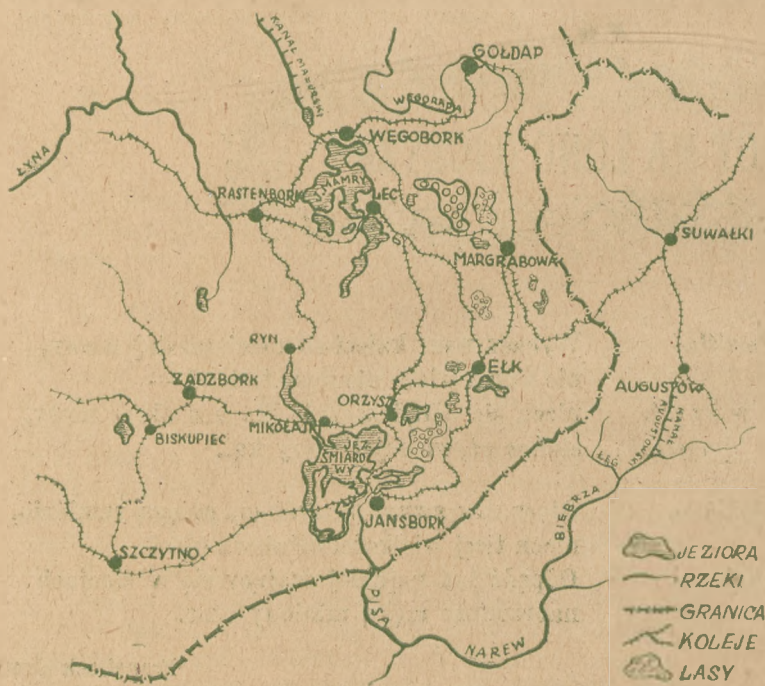
Oleński, który poprzedniego wieczora przyjechał do Margrabowej, wychylił się z okna pokoju hotelowego, w którym nocował. Ciekaw był, kto na ulicy miasta wschodnio-pruskiego tak głośno mówi po polsku. Niezupełnie po polsku, po mazursku, gdyż język był nieco inny, niż w Bydgoszczy, skąd Oleński przybył. Zobaczył dwóch mężczyzn, rozmawiających ze sobą. Jeden z nich był po wiejsku ubrany, drugi w mundurze listonosza ze skórzaną torbą, przewieszoną przez ramię.

Oleński w sprawach handlowych przejeżdżał przez Prusy Wschodnie. Miał za sobą kilka godzin podróży przez „kraj 3000 jezior“, z których największe, jezioro Śniardwy, pokrywa płaszczynę wielkości 122 kilometrów kwadratowych. Przerwał podróż, by spotkać się ze swoim krewnym, który pracował w tartaku, położonym w okolicy Margrabowej.

Aby się dostać do wioski, gdzie stał tartak, musiał Oleński wynająć wóz i konie. Na tablicy przyczepionej do wozu zauważył nazwisko woźnicy: Ignac Wenschorrek. Przypomnił sobie, że na szyldach miasta również widział wiele nazwisk, obecnie zniemczonych, lecz zdradzających wyraźnie polskie pochodzenie. Mazurzy, osiadli na tej ziemi od 700 lat, niezupełnie zdają sobie sprawę z tego, że są Polakami, że ich mowa jest polska. Są wyznania ewangelickiego. Niemcy gnębili ich stale i tępiłi wszelkie odruchy polskości.

Był gorący dzień letni. Żar słoneczny lał się z nieba i niemiłosiernie prażył ziemię. Oleński i woźnica jechali na zachód. Po obydwu stronach drogi ciągnęły się rzędy chałup wiejskich i chat rybackich. W obejściach krzątały się kobiety mazurskie z podwiązanymi pod brodą chustkami. W rowie przydrożnym bawiła się gromadka dzieci o puciołowatych twarzach i płowych włosach. Na długich żerdziach suszyły się sieci rybackie. Ciepły wiaterek od czasu do czasu przynosił zapach wędzonych ryb. Tu i tam rosło mizerne żyto mazurskie. Wody cofającego się lodowca zmyły urodzajne części gleby i pozostawiły jałowe piaski, które dają marny plon.

Wjechali w las, który przypominał puszcze. Olbrzymie pnie



drzew iglastych i liściastych pięły się w górę i konarami swoimi zasłaniały grunt, miejscami podmokły i śliski. Tu i ówdzie sterczały korzenie spróchniałe i wywrócone, zieleniły się pola mchów. W powietrzu unosił się zapach grzybów i jagód.

W pewnym miejscu przeświecała przez drzewa zwierciadlana tarcza jeziora. Po łęgach nadbrzeżnych brodziły długonogie bociany, spacerowały czajki. Czaple łowiły ryby na płytkiej wodzie. Tam jastrząb nieruchomo zawisł w powietrzu i pilnie wypatrywał zdobyczy, aby następnie jak strzała spaść na ziemię i zatopić swe szpony w grzbiecie biednej ofiary. Dzikie kaczki unosiły się w powietrzu lub opuszczały na wody jeziora. Na Mazurach ludzi mało, 35 na kilometr kwadratowy. Za to ptactwa dużo. Lęgną się tu łabędzie i kormorany. Często spotyka się żółwie.

— Dużo tu u was jezior — przerwał miłczenie Oleński.

Woźnica zauważył, że są one małe w porównaniu z jeziorem Mamry, rozciągającym się na przestrzeni 104 kilometrów kwadratowych. Wenschorrek mieszkał przez kilka lat pod Węgorbkiem i znał te okolice dokładnie. Stoi tam nad jeziorem latarnia morska.

Podróżni wreszcie dotarli do celu. Na placu tartakowym wrzało jak w ulu. Uwijało się mnóstwo pracowników. Wszyscy byli wysocy, w barach rozrośli. Niektórzy mieli zawiesziste wasy, jak na prawdziwych Mazurów przystoi. Słychać było na placu gwar i nawoływania mazurskie.

— Ej, Gawronietz, uwaga!

Nazwany Gawroncem uskokzył w bok. Był najwyższy czas, bo o mało zostałby najechany przez ciężki drzewem obladowany wóz, który w rozpędzie wtoczył się na plac.

Jedni robotnicy oczyszczali z kory rozrzucone po placu pnie drzewne. Inni obsługiwali traki, które rznęły pnie na deski i sprawiały tak ogłuszający hałas, że nie można było rozumieć własnego słowa. Chmura pyłu drzewnego unosiła się w powietrzu, tak, że pracownicy przy trakach biali byli jak młynarze. Pod szopami inni robotnicy układali deski na betonowych podstawach, aby wyschły. Świeża woń żywicy unosiła się w powietrzu.

Krewni przywitali się serdecznie. Spędzili wspólnie dwa dni. Na odjeźdym Oleński nadmienił, że podobało mu się przedsiębiorstwo i ludzie, swojsey i blisey, w których tkwił duch polski tak nieugięty i twardy, że nie zdołały go złamać żadne prześladowania ze strony Niemców.

Joanna Markowska

Pomnik Kopernika w Toruniu

*Wyśpiewywał ci kotysanki Toruń,
nocne godziny wydzwaniał ci ratusz
i wiódł twą duszę do podgwiezdnych torów,
wystąnych morzem planetarnych kwiatów.*

*Mijały lata wykresów, obliczeń,
wpatrzony w nieba gwiazdny porządek.
Zwierzyły noce niebios tajemnicę —
w popiół runęły ludzi myślnie sądy.*

*Mądrość stuleci wierzyła w bieg słońca,
śledziły wieki ruch niebnych przestrzeni —
tyś imię twoje wstawił w światła końcach —
wstrzymałeś słońce, kazałeś bieć ziemi!*

*Na nic się zdała wroga propaganda,
na nic ciemieżców nienawistna zazdrość —
na twym pomniku zakwitł polski sztandar,
patrząc ku niebu i ku polskim gwiazdom.*

Franciszek Grott





W ciche, letnie wieczory Polska wydawała im się najbliższą. Wtedy nad migotliwą taflą sławianowskiego jeziora płynęły głosy stamtąd. Dzwony bługowskie uroczyście oznajmiały kres znojnego dnia. Po rosie wieczornej niosła się piosenka dziewczęca. Stali wtedy w opłotkach, w sadach rozkwitłych nad jeziorem, twarzą zwróceni ku granicy i słuchali. W mroku wypatrywali światełek polskich chałup i uchem łowili dalekie szczekanie psów. Staliby aż do nocy, gdyby ich nie płoszył krok strażników granicznych i złowrogi błysk drapieżnego ptaka na znienawidzonych hełmach. Wracali wtedy do chałup z sercem pełnym oczekiwania.

Czekali tak i nadsluchiwali lata całe. Czekają Sławianowo, Święta, Zakrzewo. Czekają Krajna cała aż hen po nurty Głdy. Szumiały bory kujańskie i szemrały jeziora złotowskie swe prastare pieśni, te same od wieków. Czekają pokolenia i zabierały do grobu nieziszczone nadzieje. Rodziły się nowe pokolenia i trwały czujnie za zachodnim progiem Rzeczypospolitej. Rosła legenda o ostatnim dniu obrachunku i zapłaty za wiekowe krzywdy; o owej gruszy na brandenburskich piaskach, pod której cieniem zmieści się całe dziedzictwo wroga.

Tylko, że swoich było coraz mniej. Wymierali, lub szli na zachód do fabryk za chlebem. Ci, którzy zostali, byli jak te kamienie omszałe na ich polach: samotni, twardzi, nieugięci. Może nawet dziwaczni.

Taki był stary Sobek, olbrzym słowiański o błękitnych oczach i sumiastych wąsach. Jak dąb wyniosły stał nieraz wśród pól i wiódł sam ze sobą jakieś nieskończone rozmowy. Śmiali się trochę z niego, lecz szanowali go.

— Twardy jest i zawzięty — mówili.

Psy Sobka wpadały w szal wściekłości na widok munduru żandarma lub listonosza. Znały swego pana. Może im tam za to chytrze dawał jaki smaczny kąsek. Na czas nieproszonych wizyt kobiety posyłały starego do komory. Kiedyś jednemu wypalił prosto w oczy:

— Wszelako Niemcy ostaną pod jedną gruszą —

Wtedy tylko znaczny okup i podeszły wiek uratowały Sobka od lochu w Złotowie.

Przyszły złe lata. Jak huragan runęła burza wojenna ku wschodowi. Znikła granica. Zamilkły dzwony bługowskie. Ucichła piosenka dziewczęca. Nie było czego słuchać wieczorami, nie było czego czekać stamtąd. Chyba nowych wieści o klęskach krzywdach. Wtedy do serc zaczęła się wkradać trucizna z wątpienia.

Stary pozostał ten sam. Tylko jeszcze bardziej był samotny i zamknięty w sobie. Musiało mu się coś przywidzieć w tych rozmyślaniach, bo raz po raz pytał:

— A kto tę ziemię obsieje?

— Co też bajecie, Sobek — odpowiedzieli — przecież żyto już po pas, a wy o siewie mówicie?

— Wszelako, wszelako tak sobie rozmyślam — odpowiadał i wpadał w swoje głębokie zadumanie.

Nie rozumieli go.

A wojna już szła falą powrotną. Mówiono o Bugu, o Wiśle. Przyszedł styczeń i zwały się głębokie śniegi. Wtedy na kraj ten przyszła godzina spełnienia legendy. Drogami płynęły dzień i noc długie kolumny uchoźców. Potomkowie najeźdźców, którzy napływali tu wieki całe, opuszczali kraj w ciągu kilku dni. Do ostatniego. Ziemia pustoszała w oczach.

Wróg uchoźił ku piaskom Brandenburgii. Trzymały go w stalowym uchwycie czołgi radzieckie i nie pozwalały odetchnąć w beładnej ucieczce. Grzmiały armaty, warczały samoloty. Chyba orkan tylko może mieć taką moc i taki rozpęd, jaki miała ta lawina stali, żelaza i twardszych od żelaza ludzi. Przeszli jak huragan i parli ku morzu.

Już dobrze w marcu, kiedy w cieplejsze dni dzwoniły skowronki, spotkał stary po raz pierwszy żołnierzy.

Nosili rogatywki.

Zaśmiała mu się poorana twarz tysiącem zmarszczek, rozjaśniły się niebieskie oczy.

— Swoi jesteście?

— Swoi — odpowiedzieli.

Popatrzył na nich, powiódł okiem po polach rozległych, zapatrzył się w dal.

— Ziemi tu sporo, a ludzi mało — rzekł wreszcie.

— A bo co? — spytali.

— A bo tak myślę, kto tę ziemię obsieje?

Zrozumieli go od razu. Zabrali na drogę, gdzie rzędem stały samochody ciężarowe. Wskazali na napisy.

— Umiecie czytać, ojciec?

Umiał, bo jakże. Z polskiej książki modlił się on i wszyscy swoi tutaj.

Co żołnierz zdobędzie, to chłop zaorze — przeczytał z łatwością, bo choć stary, jednak wzrok miał dobry.

Zabrali go ze sobą i ruszyli w kierunku Złotowa. Mijali kolumny wojska i tabor, które szły na północ, ku morzu. Mijali wozy i pieszych, ciągnących od polskiej strony w ten nowy kraj.

W Złotowie stanęli przed potężnym gmachem udekorowanym flagą. Sztandar był biało-czerwony. Po raz pierwszy od roku 1772 urzędował tu znowu polski starosta.

Ciązba ludzka tłoczyła się na placu przed gmachem. Przyjeżdżali nowi, odprawiano czekających. Padały nazwy wsi i miast. Były to nazwy polskie. Wyprawiano ludzi na Wałecz, Człuchów i Jastrów. Ciągnęli na Piłę, Szczecinek i dalej ku morzu w Lęborskie, Bytowskie i Słupskie. Chłopi polscy brali w posiadanie prastare ziemie słowiańskie.

Stary patrzył, patrzył. Oczy miał pełne blasków. Może w tych jasnych źrenicach odbijała się wizja legendy, której był uosobieniem.

Stał, wyniosły dąb słowiański i patrzył na odchodzących.

Drżącymi ustami powtarzał cicho:

— Co żołnierz zdobędzie, to chłop zaorze.

Z „GRAŻYNY”

A. Mickiewicz

Rymwid niezwykłą rażony nowiną,
Stał pełen dziwu, nieprzytomny sobie;
Przegląda burzę, myśli o sposobie;
Sklócone myśli jedne w drugich giną.
Ale rzecz nagła, próżno zwlekać zdanie,
Z gniewem i żalem zawoła: „O panie!
Bogdajbym nigdy nie dożył tej pory:
Brat przeciw bratu ma podnosić dłonie!
Wczoraj wyszczerbił na Niemcach topory,
Dziś ma je ostrzyć ku Niemców obronie?
Zła jest niezgoda, ale gorszą zgodą
Chcesz nas pojednać; raczej ogień z wodą.

Zdarza się wprawdzie, że sąsiad sąsiada,
Z którym nieprzyjaźń toczył od lat wielu,
Uściska wreszcie, gniewne serce składa,
Jeden drugiego zowiąc: przyjacielu;
Że bardziej jeszcze niżli złe sąsiady,
Gniewne na siebie Litwiny i Lachy,
Często u wspólnej pijają biesiady,
Snu używają pod jednymi dachy,
I miecze łączą ku wspólnej potrzebie;
A jeszcze bardziej nad litewskie męże,
I nad Polaki, zawziętsi nad siebie
Od wielu wieków są ludzie i węże:
A przecież, jeśli do domowych progów
Waż zaproszony gościem od człowieka,
Jeśli dla chwały nieśmiertelnych bogów,

Litwin mu chleba nie skąpi i mleka;
Wtenczas gad swojski pełźnie w jego ręce,
Spolem wieczerza, z jednych kubków pija,
I nieraz senne piersi niemówzące
Mosiężnym wiankiem bez szkody obwija.
„Lecz krzyżackiego gadu nie ugłaszczcie
Nikt, ni gościna, ni prośbą, ni dary!...
Małoż Prusaki i Mazowska cary,
Ziem, ludzi, złota wepchnęli mu w paszczę?
On wiecznie głodny, choć pożarł tak wiele,
Na resztę naszą rozdziera gardziele.

„Spólna moc tylko zdoła nas ocalić;
Darmo hordami ciągniemy co roku
Burzyć ich twierdze i mieściny palić:
Przebrzydły zakon, podobny do smoku,
Jeden łeb utniesz, drugi rośnie skoro,
I ten ucięty rośnie w dziesięcioro.
Wszystkie utnijmy. Na próżno się trudzi,
Kto naszych szczerze chce godzić z Krzyżaki:
Bo czy to z kniaziów, czyli z prostych ludzi,
Na Litwie całej nie znajdzie się taki,
Co by ich nie znał chytróści i dumy,
Nie stronił od nich jak od krymskiej dżumy;
Co by nie wolał stokroć od ich broni
Raczej śmierć w polu, niżli pomoc zyskać,
Raczej żelazo rozpalone w dłoni,
Niżli krzyżacką prawicę uściskać!

W maju

*Śłońce majowe w ognia koronie
Za las się czarny chowa,
Strzechy i sady, pola i błonie
Owiała mgła różowa.*

*A w tej złocistej blasków powodzi,
W sukience z gwiazd utkanej,
Powiewna jakaś postać wychodzi
Na szmaragdowe łąny.*

*Bielą się z dala śnieżne Jej szaty
Po łąkach i po lesie,
A wietrzyk za nią chodzi skrzydlaty
I rąbek szat Jej niesie.*

*Czasem kosiarzy, co trawę sieką,
Na łąkach widzi w dali,
Albo rybaków zgiętych nad rzeką,
Co się od zorzy pali.*

*Czasem kobiety mija nad strugą,
Piorące białe chusty,
Patrz za nimi rzewnie i długo
Z uśmiechniętymi usty.*

*A gdy po drodze dziecko napotka,
Co w polu pasie krowy,
Wtedy podchodzi cicha i słodka
I włos mu gładzi płowy.*

*Wierzbę garbate przy każdej strzesze
Kornie się przed nią kłonią.
Kwiatów u nóg Jej kłękają rzesze,
Modląc się do Niej — wonią.*

*Grają koników polnych kapele,
Z chórami żab złęczone,
Echo rozwiejne do nóg Jej ściele
Tę dziwną antyfonę.*

*I przez wieczorną ciszę się niosą
Litanie te olbrzymie.
Płynię po świecie z wilgotną rosą
Jej wniebowzięte imię.*

Lucjan Rydel

Dzieci żołnierzom,

a żołnierze dzieciom



Upłynęło już kilka tygodni pracy szkolnej wśród najcięższych warunków. Niemcy pozamieniali nasze piękne szkoły przedwojenne na koszary lub szpitale. W wielu szkołach nie pozostał ani jeden przedmiot szkolny. Wymęczeni długą niewolą i tułaczka nauczyciele wraz z dziećmi własnymi rękami wyrzucili brudy, śmiecie i niepotrzebne graty. Znosili ławki, tablice i szafy z różnych stron miasta. Zatykali tekturą wybite szyby i w nieopalonych klasach przez cały czas uczyli.

Wreszcie przyszła upragniona wiosna. Nadeszły pierwsze wakacje świąteczne. Zmęczeni radują się z krótkiego odpoczynku. Ale nie wszyscy odpoczywają. Trzeciego dnia

wakacji świątecznych w szkołach jakoś dziwnie gwarło. Co się tam dzieje? Ludzie, przechodzący obok, aż się oglądają. Mają wrażenie, że się znajdują koło wielkiej pasieki, gdzie brzęczą złote pszczołki. Z jednej klasy słychać śpiew wesołych żołnierskich piosenek. To pan nauczyciel ćwiczy chór szkolny. Z drugiej klasy rozlega się dźwięczny głosik jakiegoś deklamatora. Szczęśliwej mamusi, przechodzącej koło szkoły, aż serce mało nie wyskoczy z wielkiej radości. Nie myli się. To jej synek tak ślicznie deklamuje. Wyrośnie chyba na prawdziwego artystę. Ogląda się, a tu ulicą pędzi gromadka zdyszanych maleców. Niosą do szkoły jakieś ładnie pozawijane paczki. Wbiegają do klasy i oddają swej pani. Pani nauczycielka poprawia i dokłada różne drobiazgi.

— Och, jak dużo paczek! — krzyczy piskliwym głosikiem uradowany Kazik.

— Ale, żebyś ty widział, ile zebrała *Пб!* — hamuje go bardzo grzeczna Alinka. — To my jeszcze przyniesiemy! — krzyknęła gromadka zuchów i zanim pani przyjęła świeże paczki, już ich nie było widać.

Były to prawdziwe wyścigi między klasami w szkole, a między szkołami w całym mieście. Trwało to już kilka dni, a w Wielką Sobotę nastąpiło zakończenie zbiórki. Teraz delegacje szkół zabierają upominki i niosą do szpitali wojskowych dla rannych polskich żołnierzy. Nie mogą wszystkiego zabrać. Wojsko przychodzi z pomocą. Przesyła parokonnny wóz i przewozi na umówione miejsce.

Nad dachami domów szybkie samoloty śmigają jak jaskółki. Lotnicy widzą wszystko. Przed ich sokolim wzrokiem nie się nie ukryje. Widzą barwny korowód dzieci, śpieszących ze wszystkich bydgoskich szkół do różnych szpitali wojskowych. Każda szkoła do innego szpitala, żeby żaden nie był pominięty. Żeby każdy ranny żołnierz, leżący w naszym mieście, dostał świąteczny upominek.

Radosna wieść lotem błyskawicy rozeszła się po salach szpitalnych. Ranni i chorzy żołnierze zapominają na chwilę o dokuczliwym bólu. Oparci na kulach powolotku przesuwają się do największej sali. Tylko ciężko ranni zostali na łózkach. Dzieci pod kierownictwem swych wychowawców stanęły przed tymi, którym zawdzięczają wolność i życie. Ciepłe, serdeczne słowa jednego z nauczycieli wprowadzają od razu bardzo miły nastrój i rozrzucają nawet mężne żołnierskie serca. Stara wiara nie ukrywa swego wzruszenia. Za okazaną jej miłość odplaca sercem. Dzieciom bardzo żal tych wilgotnych oczu żołnierskich. Zaraz je rozwesela. Już płynie wesoła piosenka. Unosi się w powietrzu, jak promyk wiosennego słońca. Kochani ranni żołnierze usiłują klaskać nawet zabandażowanymi rękami. Śpiewy przeplatają się z deklamacjami. Po nich następują inscenizacje i plaśy. Już nie ma na sali ani jednego żołnierza, który by się smucił.

Wesoła piosenka, wierszyki i plaśy dziecięce, to powrót uśmiechu na twarze żołnierskie, to prawdziwy balsam na rany.

Teraz dzieci znów przechodzą do nastroju poważnego, aby żołnierz przekonał się, jak wielkim skarbem dla narodu jest wywalczona przez niego wolna demokratyczna szkoła polska. Zbyszek w imieniu wszystkich chłopców składa hołd poległym bohaterom, dziękuje za ofiarę krwi rannym

żołnierzom i podniósłszy dwa palce do góry, ślubuje, że te ofiary nie będą daremne. Chłopcy udowodnią to trudem całego swego życia, a każdą kroplę krwi żołnierskiej pomszczą stokrotnie.

Jadzia w imieniu wszystkich dziewcząt dziękuje żołnierzom za miłość do dziecka polskiego i ślubuje, własną krew oddać dla ratowania życia polskiego żołnierza. Ta przysięga polskiego dziecka przed rannym polskim żołnierzem — to cudowne lekarstwo na znękaną duszę żołnierską. Taka jedna chwila niejednemu pozostawi w pamięci niezatarty ślad na całe życie.

Potęga polskiego ducha powiała po sali z taką siłą, że i najślabszy poczuł w sobie moc niezwykłą.

Teraz znów żołnierze po swojemu, prosto, ale serdecznie dziękowali dzieciom i ich wychowawcom.

* * *

Po tej niezwykłej uczcie duchowej przyszła chwila rozdania upominków. Kochane dziewczynki pokazały swe zdolności przyszłych gospodyń i pań domu. Ogromna ilość rannych żołnierzy została obdarowana w ciągu kilku minut. Do łóżek ciężko rannych udała się specjalna delegacja z podwójnymi paczkami. Wydelegowane dzieci widziały okazaną im wdzięczność. Ale ci żołnierze pamiętają o wszystkich polskich dzieciach i wszystkim za ich dobre serduszka dziękują.

Franciszek Łukasik

MAŁA PRZODOWNICZKA

Danusia ma dziewięć lat. Chodzi do trzeciej klasy. Uczy się bardzo dobrze. Mówi czysto po polsku. Czyta tak, jakby rozmawiała. A jak ślicznie pisze! Aż miło patrzeć.

— Skąd ty, Danusiu, tak wszystko dobrze umiesz?

— Ależ, moi kochani, nie dziwcie się.

Nie w tym nadzwyczajnego. Byłam w Warszawie. Tam każde dziecko uczyło się po polsku. Gdy szkoła była zamknięta, to mamusia uczyła mnie w domu.

— A tatuś też cię uczył? — Nie! Mego tatusia Niemcy zabili. Danusia jest pólsierotką.

Wszyscy Danusię kochają. Każdy się do niej uśmiecha. Chce być jej przyjacielem. Danusia ma dużo przyjaciół i przyjaciółek. Pomaga im w nauce. Jest przodowniczką ósmego zespołu. Do pokoju Danusi przychodzi Elżunia, Kryśia, Zygmus, Tadzio i Henius. Jest ich wszystkich sześćoro. Tyle, ile krzesel przy stole. Zbierają się po południu. Dzieci są bardzo grzeczne. Zaraz same zbierają się do czytania „Iskierek“. Chcą nauczyć się czytać tak, jak Danusia. Każde po kolei czyta całą czytanekę głośno, a reszta po cichu. Gdy się które zmyli, to Danusia zaraz poprawia. Mamusia Danki bardzo się z tego cieszy. Każde dzieciom wziąć zeszyty i pisać ze słuchu to, co podyktuje. Piszą całą stronę zeszytu. Z początku dzieci robiły bardzo dużo błędów. Prawie w każdym słowie był jakiś błąd. Pewnego dnia Zygmus powiedział, że błąd to wróg. Henius oświadczył, że nie pozwoli, by wrogowie zakradali się do jego zeszytu. Inne dzieci przyklasnęły. Postanowiły zwalczyć tego paskudnego wroga. Walka jest ciężka i długa, ale dzielne dzieci zwyciężają. Pani nauczycielka już parę razy odwiedziła zespół Danusi i pochwaliła wszystkie dzieci. Jak popracują w ten sposób do wakacji, to wszystkie z klasy trzeciej przejdą do klasy czwartej. Danusia mówi, że to będzie chyba najpiękniejszy dzień w jej życiu.

Franciszek Łukasik

Kruk i lis

Bywa często zwiedzionym,

Kto lubi być chwalonym.

Kruk miał w pysku ser ogromny.

Lis niby skromny

Przyszedł do niego i rzekł: — Miły bracie,

Nie mogę się nacieszyć, kiedy patrzę na cię,

Cóż to za oczy?

Ich blask aż mroczy.

Czyż można dostać takową postać?

A pióra jakie?

Lśniące, jednakie.

A jeśli nie jestem w błędzie,

Pewnie i głos śliczny będzie.

Więc kruk w kantaty; — skoro pysk rozdziawił;

Ser wypadł, lis go porwał i kruka zostawił.

Ignacy Krasicki



Nasze kwiaty

Jeszcze śnieżek prószy,
Jeszcze chłodny ranek,
A już w cichym lesie
Zakwita sasanek.

A za nim przylaszczka
Wychyla się z pączka,
I mleczem się żółtym
Złoci cała łączka.

I dłużej już dzionka,
I bliżej słoneczka,
A w polu się gnieździ
Biała stokroteczka.

A dalej fiołki
Wskroś trawy pod rosą
W świeżych swych czareczkach
Woń przesłodką niosą.

A tuż ponad strugą,
Co wije się kręta,
Niezapominajka
Otwiera oczęta.

A w gaju wśród liści,
W wilgotnej ustroni,
Konwalia bieluchna
W dzwoneczki swe dzwoni.

A wyjdiesz drożyną
Z gajku na pole,
To spotkasz modraki,
Ostróżki, kąkole...

I maczek tam wilczy
Kraśnieje wśród żyta,
I róża krzak głogu
Na miedzy zakwita.

A ścieżka zielona,
Co z górki zstępuje,
Srebrzysty powoik
Po świetle wędruje...

O, ziemio ty droga,
Ty Boży zielniku!
I w polach i w łąkach
Masz kwiecica bez liku!

M. Konopnicka

U WUJKA NA WSI

Antek i Wacek, przybywszy do wujka na wieś, pilnie pomagają w gospodarstwie. Wujek polecił im oczyścić ze śmieci duże podwórze, rozciągające się między domem mieszkalnym a zabudowaniami gospodarskimi. Zabrali się ochoczo do roboty. Antek grabił, Wacek zamiętał. Pracowali przez kilka godzin. Teraz podwórze porządnym i czystym wyglądem raduje oko. Chłopcy są wolni i mogą się bawić.

— Dokąd pójdziemy? — pyta Wacek.

— Nad staw.

— Zgoda.

Zabierają siatki. Zrobili je na wzór tej, jaką widzieli u pana nauczyciela. Poprosili mamę o kawałek gazy, którą przyczepili do drewnianego kółeczka. Do kołka przymocowali trzonek i siatka gotowa.

Staw niezbyt duży otoczony jest wysokimi brzegami z gliny, w której gnieźdzą się jaskółki-brzegówki. Chłopcy bosymi nogami brodzą w ciepłej wodzie. Każdy z nich zanurza swoją sieć, następnie bada pilnie złowioną zdobycz: żabi skrzek, podobny do galaretowatych kuleczek, ogoniaste kijanki, małe czarne owady: jedne krótkie i pękate, inne o wydłużonym cienkim odwłoku.

— Mam ważkę! — woła Wacek.

Antek podbiega i obydwaj zachwycają się pięknym okazem o zielonkawo połyskujących





wpaірzone są w skłby. Raz po raz jedna z nich wyciąga z ziemi tłustą dżdżownicę lub grubego pędraka.

Opodal długi rząd kobiet piele ziemniaki. Chwasty trzeba tępić w zaraniu, aby się zbytnio nie rozpowszechniły. Jedne kobiety pochylone wrywają zielsko rękami, inne motykami spulchniają ziemię.

— Szczęść Boże! — wołają chłopcy, przechodząc.

Kobiety na chwilę prostują zgarbione plecy i chórem odpowiadają: „Bóg zapłać!“

Chłopcy zwracają się ku zabudowaniom wujkowym. Duży sad tonie w urozystej bieli. Pnie drzewne są bielone wapnem, a gałęzie aż uginają się od obfitości kwiecia. Wokoło słyhać brzęk pszczoł, które zbierając miód, równocześnie zapylają kwiaty owocowe. W sadzie pod wysokim parkanem ciągnie się długi rząd drewnianych domków pszczelnych.

Nagle rozlega się przeraźliwe wołanie dziewczęce. To Irka, kuzynka Antka i Wacka, jak opętana biegnie po trawniku.

— Czego krzyczysz?! — wołają chłopcy.

— Tam pszczoła — i ręką trzepie włosy.

Ostatecznie okazuje się, że pszczoła Irki weale nie ukąsiła. Wyplątała się z włosów i uciekła. Lecz brzęk owada i strach przed ukłuciem przyprowiły Irkę o przerażenie.

— Antek! Wacek!

To wujek woła. Chłopcy pędem podbiegają do niego. Mają przynieść młodych brzózek, rosnących dziko nad brzegiem wujkowego rowu. Tą zielenią umają dom cały. Jutro bowiem jest uroczystość Zielonych Świątek.

Joanna Markowska

Zosia i bzy



Świeci słońko, grzeje —
cały świat się śmieje.
Ach, jak pachnie cudnie
w majowe południe!

Po dużym ogrodzie
mała Zosia chodzi.
W dywanik zieleni
ogród się zamienił.

Zgina w drzewkach bzowych
wiatr kwiatki liliowe. —
Opuść choć troszeczkę
bzową gałazeczkę!

Zgina wietrzyk niżej,
rączka coraz bliżej.
Ach, jak trudno Zosi
na palcach się wznosić!

Gałazeczka mała
urwać się nie dała. —
Schyl się, gałazeczko,
schyl się, kochaneczko!

Pójdę do szpitala
z naszą klasą całą,
Żołnierzom z piosneczką
złożę bżów wiązeczkę.

Franciszek Grott

Co dzieci widziały na polu?

Terenia i Halinka mieszkają przy ulicy Bielińskiej. Jest to ulica podmiejska. Domy są tu niskie, jak na wsi. Za każdym domkiem rozelega się pole. Terenia i Halinka bawią się właśnie na takim polu. Jest tu cała gromada. Gonia się, bawią się w „ślepa babkę“, a potem huśtają się. Dziaduś Terenię bardzo kocha. Zrobił jej huśtawkę. Korzystają z niej też inne dzieci. Oj, jak tam wesoło!

Nad głowami dzieci warczą samoloty. Jeden, dwa, trzy... Coraz więcej. Przelatują radosnym brzęczeniem, krążą naokoło, znikają i po chwili znowu się pojawiają.

Dzieci nie zwracają już wcale na nie uwagi. Widzą je co dzień. Niedaleko jest przecież lotnisko.

Teraz bawią się w „liska, co chodził koło drogi“...

— Patrzcie, patrzcie — krzyczy Halinka — jaki duży parasol na niebie! Zabawa się przerywa. Wszystkie dzieci spoglądają na niebo. Tego jeszcze nie widziały. Wysoko na niebie buja się naprawdę biały, duży parasol. Skąd on się tu wziął?

Dzieci patrzą z szeroko otwartymi oczyma. Halinka ma nawet otwartą buzię. Ale ona o tym nie wie.

Po chwili zawarczał samolot. Motor przestał pracować i naraz oderwał się od samolotu mały ciemny punkcik. Leciał, leciał prosto na dół, jak kamień. Rósł, rósł — — — i za chwilę rozwinął się w piękny, biały parasol. Spadał już wolniej, coraz wolniej. Nagle zauważyły dzieci, że do tego dziwnego parasola przyczepiony był człowiek. To skoczek — mówi Terenia, której dziaduś dużo wieczorami opowiada — spuścił się na spadochronie!

Po niedługim czasie ukazało się na niebie aż pięć takich spadochronów. Nie wytrzymały dłużej dzieci. Popędziły ulicą Bielińską, a potem przez pola w kierunku lotniska. Stały zadyszane na polnej drodze. Halinka aż zbladła. Ma dopiero osiem lat i nie mogła zdążyć ze starszymi. Na środek placu lotniskowego spadały już teraz ogromnie duże spadochrony. Skoczkowie szybko zwijali linki, do których byli przyczepieni, żeby wiatr ich nie włoczył po twardej ziemi.

Wtem z głośnym warkotem nadleciał samolot-dwupłatowiec. Leciał tak nisko, że Halince wydawało się, że ją trącił skrzydłem. Przestraszyły się dzieci. Widzą, jak spod kadłuba wysuwają się dwa koła. Samolot wylądował. Wyskoczył z niego pilot. Ćwiczenia się zakończyły. Dzieci poczęły się szybko rozbiegać do domów.



KSIĄŻECZKI DZIECI



Kazik i Ewunia chodzą już do szkoły. Ewunia do klasy czwartej. Kazik dopiero do trzeciej. Dostali oni śliczne książki od tatusia. Książka Kazika ma dużo obrazków. Są w niej ładne bajeczki. Ewunia jest gruba. Nosi tytuł „Kocia mama“. Ewunia zaraz chce czytać. Usiadła. Otworzyła książkę. Lecz cóż to? Książka sama się zamknęła. Z kolan uciekła. Stała przed dziewczynką, mówiąc:

— Niech mnie każdy bierze,
Gdy okładki mam w papierze.

Jednym susem znalazła się na stoliku. — Masz rację, książeczko. Biegnie Ewunia po papier. Zaraz do pracy się zabrała. Dostały książeczki niebieskie sukienki. Obiad przerwał zajęcia dzieci. Pierwszy zjadł Kazik. Biegnie do swoich bajeczek. Usiadł przy stole. Chce wziąć książkę. Nie może jej unieść. Wyraźnie słyszy grubym głosem:

— O tym dziatwa niech pamięta,
Przed czytaniem myć rączeta.

Idzie Kazik do kuchni. Myje dokładnie ręce. Uśmiechnięty wraca do książki. Otwiera ją. Czyta bajeczkę. Jaka ładna.

Oparł łokcie na kartkach. Niechcący zrobił „ośle uszy“. Ślini palec raz i drugi. Chce nim kartkę odwrócić. Rozgniewała się książka. Trzęsą się oburzone kartki. — Beł, beł, beł, boo, booo.

— Wielką krzywdę ten mi czyni,
Kto gnie kartki, palec ślini.

Zawstydził się Kazik. Czerwony jak burak usiadł w kąci. Usnął. Książka leży obok. Tymczasem wróciła Ewunia. W rękę ma kromkę chleba z miodem. Zabrała się do czytania. Lubi bardzo przy jedzeniu czytać. — Ach! — krzyknęła Ewunia. Czerwony, gruby napis wyskoczył na kartce.

— Gdy chcesz jeść, to nie ma rady,
Schowajże mnie do szuflady!

Głośno czyta Ewunia. Odkłada chleb na talerz. Napis znikł. Dziewczynka czyta dalej.

Do pokoju przyszedł piesek Azorek. Podszedł do śpiącego Kazia. Liże go po rękach. Zobaczył bajeczki. — Ham, ham, ham.

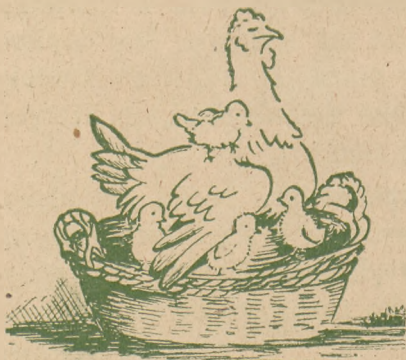
— I ja także czytać chcę. Ale oczywiście łapkami i ząbkami. Chwyta w zęby. Chce otworzyć. Aj, już kartka leci. Ham, ham, ham, ham — szczeka. — Weź sobie, Kaziu, książkę — i ucieka. Zrywa się Kazik. I Ewunia przybiega. Patrzą dzieci na książkę. Kazik płacze. Książka uniosła się. Stała przed dziećmi mówiąc:

— Jeśli kartka mi wyleci,
Przyklejcie ją zaraz dzieci.
Jeszcze proszę was ogromnie,
Nie gryzmolcie sobie po mnie.

Spełniły rozkaz dzieci. Już klej mają. Kazik trzyma książkę. Ewunia klei kartkę. Leżą teraz obie książeczki na półce. Ewunia i Kazik dobrze pamiętają, co książki do nich mówiły.

Helena Jeszkowa

NASZA KURKA

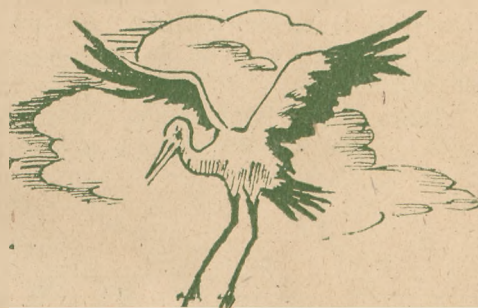


Ko — ko — ko — ko! słyhać od wczesnego ranka. To kurki proszą o śniadanie. Czasami wskakują na okno. Dziobem uderzają o szybę. Budzą gospozię. Renia karmi kurki. Sypie ziarenka pszenicy. Wojtek lubi patrzeć, jak siostrzyczka je karmi. To jest bardzo śmieszne! Jedna kurka wskoczyła Reni na plecy. Druga na rękę. A trzecia dziobie w pończoszkę. Nic się nie boją. Wojtek ma ulubioną kurkę. Cała jest biała. Na głowie ma czerwony grzebień. Nazywa się Kokoszka. Gdy na nią zawoła — tūtia, tūtia! — to kurka przychodzi i pozwala się głaskać. Napusz

się i cichutko coś prawi. — Ko, ko, ko. Zniosę jajeczko! Renia nakarmiła kurki i odeszła. Kury rozbiegły się w różne strony. Kokoszka biegnie do swojego domku. Siada wygodnie na sianku. Wojtek już wie dobrze, co to znaczy. Kurka zniesie jajeczko. A on pójdzie narwać świeżej trawki. Kokoszka lubi zagryzać „majową salatkę“. Śpiewa głośno na podwórku. Kot — kut — gat — ko, ko. Wszystkim opowiada, że już jajko zniosła. Na jej miejsce idą kurki żółte, czarne, szare. Każda z nich chce zapłacić Reni za śniadanie. Wszystkie kurki codziennie nosły jajeczka. Nagle Kokoszka nieść przestała. Stale podchodzi do Wojtka i opowiada: Ko, ko, ko, ko. Na jajeczkach siedzieć chce. Przygotowała mama ładny, wygodny koszyk. Wyścieliła słomą. Przyniosła dwanaście jaj. Wojtek ostrożnie układa jajeczka w koszyku. Niesie teraz swoją pieszczochę. Kokoszka usiadła na jajkach. Skrzydłami okryła je dokładnie. Teraz jest taka duża biała kula. Kurki swojej pilnuje Wojtek. Chodzi do niej trzy razy dziennie. Znosi jej wodę. Sypie ziarenka. Ostrożnie zdejmują ją z jaj. Kurka przy jedzeniu się spieszy. Dziobem uderza po ręce Wojtka. On wie, dlaczego. Trzeba ją teraz do kosza zanieść. Tak siedziała kurka trzy tygodnie. Wygrzewała jajeczka. Było to w niedzielę. Wojtek i Renia poszli do kurki. W koszyku ruch. Kręci się Kokoszka wśród żółtych kłębuszków. Śliczne małeństwa rozdzierają dzióbki. Pi, pi, pi, pi. Piszczą coraz głośniej. Radość była wielka. Dwanaście żółtych kuleczek wyjęła Renia z koszyka. Mama przygotowała im śniadanie. Ugotowała jajko i posiekała drobniutko. Kurczątko zajadały. Dumna z swoich pociech była mama Kokoszka. Poprowadziła gromadkę swoją na podwórko. Szukała im robaków. Rozrywała na mniejsze części. Wołała swoje dziatki. Ko, ko, ko! Wojtek i Renia opiekowali się gromadką żółtych pociech. Wiedzieli, że z nich wyrosną kurki. Szare, czarne, białe, pstre. A każda z nich będzie wniosła jajeczka.

Marta Sobecka

NA ŁĄCE



Pięknie jest teraz na łące i wesoło. Na tle jasnej zieleni trawy uśmiechają się do słońca kwiaty. Kaczeńce żółte, biała rzeżucha, stokrotki, jaskry, niebieskie niezapominajki. Już od rana żaby rechoczą. Rech, rech, rech. — Jeść nam się chce. Skaczą po łące. Łapią muchy i owady. Żabki płowe są w sukienkach brunatnych. Brzuszki mają żółtawe. Jedna z nich najgłośniej skrzeczy. To Muchołapka. Właśnie złapała muchę. Duże oczy żaby zobaczą każdy owad i muszkę. Poruszać może nimi w różne strony. Już znowu język wysunęła. Muche nim okręciła i do pyszczka zaniiosła. Ach! jaka smaczna. Głaska łapką brzuszek. Słychać wołanie zielonych żabek. Ku-ła, ku-ła, ku-ła. To wodne żabki o białych brzuskach. Zapraszają nad strumyk.

Hops, hops, hops. Spieszy nasza Muchołapka. Wiadomo, że muszek tam dużo. Jedna, druga, trzecia i czwarta. Już więcej brzuszek nie pomieści. Lecz cóż to? — Głowa boli. Oj! i brzuszek także. — Chora jestem. Trzeba iść do łózka. Kładzie się na okrągłych listkach kaczeńca. Jęczy: Stęka. Uf, uf, uf. Chwyta za głowę łapkami. — Żabki płowe, siostry moje. Umieram już. Doktora wołajcie. Z całej łąki zbiegli się doktorzy i sąsiadki. Kumka, co mieszka w pobliżu, ropucha zielona, ropucha szara. Nawet z krzaku wierzby rzekotka na jęki Muchołapki przyszła.

Każda coś radzi. Ropucha brzuszek naciera. Ślimak kompres na głowę przykłada. Nawet pan zajac przyszedł. O zdrowie grzecznie pyta. — Jakże się pani żabka czuje? — Oj, źle, źle, źle. Umieram. Doktora szukajcie. A zajac na to: — Właśnie na łące spotkałem doktora. — O pani Muchołapce rozmawiałem. Zaraz... jak się nazywa... te... zapomniałem... — Jakże wyglądał? — Był wysoki bardzo. Nos miał długi i czerwony. Długie czerwone buty. Zaraz tu przybędzie. Już słychać jego klekot. Żabka nasza chlups! Już jej z wody nie widać. Tylko koniuszek nosa. Zaraz wyzdrowiała, bo o bocianie usłyszała.

Helena Jeszkowa



W lesie

Czytelnia III BG
BIBLIOTEKA
UNIwersytecka
GDAŃSK
PE. 11/2

Helutka mieszka na leśniczówce. Ma daleko do szkoły. Tak miło teraz chodzić. Wesoło na świecie. Słoneczko przygrzewa mocno. Ptaszki radośnie śpiewają. Wszędzie pełno kwiatków. Ze szkoły wraca szybko. Najlepiej czuje się w lesie. Tak tu ładnie. Pachnie wokół. Coraz więcej kwiatów budzi się do życia.

Helutka spieszy na jedno miejsce. Nie może się doczekać, aż spod długich liści konwalii ukazą się białe dzwonki kwiatów. Obok niej drepcze Mirus, jej ulubiony piesek — jamnik. Już są na miejscu. Helutka klaszcze w dłonie i podskakuje z radości: — Dzyń, dzyń, dzyń — dzwonią bielutkie dzwonki konwalijek na długich szyjkach.

Dzyń, dzyń, dzyń — mówią cienkimi głosikami: — Urywaj sobie bukciecik! Dzyń, dzyń — zadźwięczały ruszone powiewem wiosennego wiatru.

Helutka przykłęka, urywa kilka kwiatków, przytyka do noska: — Jak one cudownie pachną!

Już wie, co z nimi zrobić! W drodze do szkoły mijają dzień kapliczkę Matki Boskiej. Nie ma tam świętej figury, bo ją Niemcy potłukli. Jest puste miejsce. Tam złoży bukciecik i pomodli się, żeby wujek powrócił szczęśliwie z obozu.

Matka Boska ją wysłucha, bo w maju — Jej miesiącu — nikomu pomocy nie odmawia.

Franciszek Grott



KACZUSZKA

Kasia mieszka na wsi. Mama jej ma dużo kaczek. Dała jedną Kasi. Kaczusia Kasi jest szara. Tylko buciuki ma czerwone. Kasia lubi rozmawiać z kaczusią. Pyta więc: — Kaczusiu, kaczusiu, czy jesteś głodna? A kaczusia: — Kwa, kwa, kwa. — Tak, tak, tak. Kasia wyjmie z kieszeni chleb.

Karmi kaczusię. — Kaczusiu, kaczusiu! Czy dasz mi piórek? Daj, daj na poduszkę dla lalki.

Kaczka na to: — Kwa, kwa, kwa. Tak, tak, tak.

Wyciągnęła skrzydła. Mach, mach, mach. I gubi, gubi szare piórka. Będzie poduszka dla lali.

Helena Jeszkowa



ZAGADKI

Jest ich wiele, jest ich krocie,
wszystkie lubią siedzieć w błocie,
a wieczorem, letnią nocą,
zgodnym chórem wciąż rechocą.

Mieszka w gaju na leszczynie
jego piosnka w maju słynie.

Co to za ptaki tak się nie lubią,
jak źli koledzy i ciągle się czubią?